Filozofia Nauki
ESEJ *Rok VIII, 2000, Nr 3–4(31–32)*

Jan Štěpán

Trzy uwagi o filozofii postanalitycznej

Z szacunkiem wobec starego Protagorasa formułuję motto tych uwag: „Język jest miarą wszystkich rzeczy — istniejących, że są, i nieistniejących, że nie są".

Podstawowe założenie (czy przesąd), główny rezultat a równocześnie inwariant filozofii analitycznej można wysłowić całkiem prosto: analiza języka w filozofii (a również i w nauce) jest ponad wszystkim — jest jedynym punktem wyjścia, który gwarantuje rozwiązanie wszystkich problemów. W tzw. filozofii postanalitycznej (Quine, Sellars, Goodman, Davidson, Rorty, Putnam) założenie to przybiera jeszcze skrajniejszą postać: problemy rzeczowe nie istnieją, a gdyby nawet istniały, to ich istota zagubiłaby się przy próbie nadania im językowego sformułowania. Dostrzegam w tym założeniu przypadkową zbieżność z «multikulturowo-pluralistycznymi» tezami filozofii postmodernistycznej, która w ten sposób dostarcza nieoczekiwanego wsparcia filozofii postanalitycznej. Być może zresztą w związku z tym w ogóle mówi się o filozofii postanalitycznej. Sądzę, że te proste i urokliwe (ponieważ łatwo zrozumiałe) tezy są nie tylko demagogiczne i dekadenckie, lecz także programowo destrukcyjne.

Język naturalny ma szereg mankamentów, które nie pozwalają na pełne porozumienie w sytuacjach komunikacyjnych, przy czym mankamenty te nabierają znaczenia lub tracą je w zależności od tego, czy uczestnicy ujawniają swoją *bona fides*, czy też *mala fides*. Dlaczego aspekt ten jest tak łatwo pomijany? Sądzę, że jest to kwestia motywacji poszczególnych autorów. Obserwuję bowiem pewien pozorny postęp. Współczesna «elita intelektualna» jest bardzo liczna i osiągnięcie sukcesu przez jej poszczególnych przedstawicieli jest o wiele trudniejsze niż dawniej. Dlatego ilość zwycięża tu nad jakością. Opinie intelektualistów mają szansę dotrzeć do szerszej publiczności jedynie za cenę nieprzyzwoicie urokliwej prostoty. Język ma tylko ukryć jej niewłaściwość. Udział w tym mają również naukowcy, wspierający tego rodzaju dążenia i wplątujący się w konsekwencji w sytuację nie do pozazdroszczenia, pod-

kreślającą dodatkowo ich własne niedostatki. Tymi właśnie aspektami pragnę zająć się w poniższych uwagach.

1. O JĘZYKU

Skoncentrowanie się na języku w filozofii analitycznej jest w ogóle przesadne, ale u jej postanalitycznych kontynuatorów przybiera postać skrajniejszą i bezkrytyczniejszą. Obu tym fazom rozwojowym jednej gałęzi średniowiecznej filozofii (języka) można — w pewnym sensie — przyznać rację. Zapewne wyniki (nie tylko) badania naukowego wyrażane w (*quasi*-)naturalnym języku są zawsze w pewien sposób nieadekwatne: odpowiednie sformułowania respektują w większym stopniu strukturę języka niż strukturę świata. Środki wyrazu każdego języka są zasadniczo ograniczone — o wiele skromniejsze niż ogół możliwych odniesień wyrażeń językowych: pojęć czy «przedmiotów» (tj. przedmiotów w najogólniejszym sensie); jednakże myśl realizuje się wyłącznie w pojęciach i dlatego jest językowo trudna do uchwycenia, a ponadto utrwalanie jej dokonuje się często w pośpiechu — pod groźbą «ucieczki», zniknięcia.

Językowi w nieuprawniony sposób przypisuje się atrybuty, które może spełniać tylko myślenie pojęciowe. W rzeczywistości język zawsze «nie nadąża» za myśleniem. Świat pojęć jest niewspółmiernie bogatszy niż świat języka. Twórcze myślenie realizuje się prawie wyłącznie w pojęciach. Problemem natomiast jest wyartykułowanie rezultatów tego myślenia w postaci językowej, w słowach. Dla komunikacji jest to niezbędne właśnie dlatego, że nie jesteśmy w stanie przechowywać i przekazywać myśli w formie innej niż językowa. Nawet dla literatów nowa, nośna myśl — jest kwestią pojęciową, a nie werbalną. Werbalizacja myśli jest sprawą o charakterze technologicznym: jest to umiejętność, której można się nauczyć, którą można — ćwiczyć. Twórcze myślenie jest zaś sprawą dyspozycji: dar ten można odpowiednio rozwijać, jeśli jednak go nie otrzymaliśmy — nie nabędzie się go żadnym ćwiczeniem.

Funkcja języka w komunikacji jest w filozofii postanalitycznej przeceniana. Językowe sformułowanie myśli jest prawie zawsze jej zniekształceniem. Język jako nośnik myśli jest bardzo niedoskonałym narzędziem i — nieraz — główną przeszkodą w porozumiewaniu się.

Teza Quine'a o niemożliwości dokonania wiernego przekładu z jednego języka na drugi jest całkowicie demagogiczna; więcej — kwestia takiego przekładu jest przykładem jednego z najbardziej demagogicznych pseudoproblemów. Istota jego ujawnia się «wewnątrz» dowolnego języka — i to tylekroć, ilekroć ma miejsce językowa interakcja dwóch jego użytkowników. Takimi dwoma użytkownikami może być również ta sama osoba w różnych fazach czasowych.

Wyobraźmy sobie, że sporządzam notatkę, którą adresuję «sam do siebie» — np. notuję dla pamięci jakiś pomysł. Zapisuję ją sobie w najwłaściwszej formie i z przekonaniem, że — w danej chwili — jest ona dla mnie w pełni zrozumiała. Kiedy po

jakimś czasie wracam do niej, może mi się wydać jakimś dziwnym szyfrem, który mi już nic nie mówi. (Może tak być np. dlatego, że śpieszę się przy zapisywaniu pomysłu, aby go nie utracić; że dopuszczam się przy tym świadomej symplifikacji lub nieświadomego zniekształcenia. Pomysły pojawiają się wszak niekiedy w sytuacjach nadzwyczajnych: w stanach gorączki, w snach, podczas wyczerpania itp. A i w zwykłych sytuacjach może nam brakować «wyostrzonej» uwagi — właśnie dlatego, że są one zwykłe.)

Modyfikację problemu przekładu stanowi kwestia demonstrowana na przykładzie dziesiątków nazw dla określenia rozmaitych rodzajów śniegu u Eskimosów (lub nazw rozmaitych rodzajów koni u Indian). Jest to jednak sytuacja właściwa każdemu językowi. Powstaje ona także np. przy dokonywaniu zakupów w sklepie. Tylko doświadczony sprzedawca lub towaroznawca ma rozeznanie w znakach handlowych — różnych nazwach dla rozmaitych rodzajów np. dywanów. A jednak mogę się z nim porozumieć, kiedy wiem, co chcę — i nie muszę w związku z tym znać «fachowej terminologii». Nie jest istotne dla mnie, że biały miękki dywan z długim włosem ma handlowe określenie „Pamela", a czarny twardy dywan z krótkim włosem nazwano „Clarissa". We wszystkich takich wypadkach odpowiednia nazwa, słowo czy znak handlowy jest jedynie etykietką i skrótem, o których należy pamiętać tylko wtedy, kiedy to jest naprawdę niezbędne; w zwykłych sytuacjach nie warto o nich wspominać.

Są to wypadki koniunkcyjnego szeregowania prostszych («unarnych») pojęć w wyrazy złożone. Żadna bardziej skomplikowana sytuacja nie powstaje jednak również w wypadku innych rodzajów powiązań — np. powiązań dysjunktywnych (które są jakby mniej ścisłe czy jednoznaczne). Nie dostrzegam też istotnej różnicy w stosowaniu pojęć reprezentujących relacje, chociaż stwarzają one wiele okazji do manipulowania uczestnikami procesu komunikacji. Terminologiczne bogactwo języka nie zależy bezpośrednio od jego siły ekspresywnej. Są to parametry nieporównywalne idemagogią jest sprowadzanie ich do wspólnego mianownika.

2. O NAUCE

Dopóki nauka nie rozdzieliła się na nauki szczegółowe i «rozgrywała się» w ramach filozofii jako jej organiczna część, dopóty naukowcy troszczyli się całościową wizję świata. Czas ten jednak niestety już dawno minął. Współczesne tendencje «integrujące», pojawiające się w filozofii i opierające się na logicznej analizie języka naturalnego — tzw. zwrot do języka — mają bardzo zniechęcające «wyniki». Spowodowane to jest głównie tym, że podstawową ideą (a chyba nawet bezpośrednim celem) tego przedsięwzięcia jest potraktowanie świata jako złudzenia.

Taką tendencję — w tym wypadku chyba niezamierzoną — ujawnia także i współczesna nauka.

Każdą naukę można scharakteryzować przez jej przedmiot i metodę. Charakterystyka pierwszego rodzaju prowadzi do sztucznej parcelacji świata: otrzymujemy

w ten sposób niecałościowy pogląd na świat, a w konsekwencji i niecałościowy obraz świata. Taka parcelacja świata byłaby może do zaakceptowania, gdyby polegała na wyodrębnieniu w nim poletek, które następnie zostałyby odgrodzone od innych dla ochrony przed «napastnikami» z zewnątrz: byłoby wtedy jasne, «kto jest kto» i «co jest co». W nauce wyznaczanie pól działania jest o wiele mniej przejrzyste. Podobne jest bardziej filtrowaniu lub przesiewaniu rzeczywistości. Stąd nauka jest czymś w rodzaju filtru, przepuszczającego jedynie to, co jest dla niej do przyjęcia, a zatrzymującego całą resztę, która jest po prostu ignorowana. Tak uproszczony obraz świata jest przyczyną nieporozumień w o wiele większym stopniu niż język służący do opisu tego obrazu.

Charakterystyka nauk szczegółowych przez odwołanie się do ich metody jest następstwem charakterystyki przedmiotowej. Jest ona również charakterystyką czysto teleologiczną, a dodatkowo obciąża ją błąd wyjściowej specjalizacji. Jedynym wyjątkiem jest tutaj matematyka, ale jej znowu brakuje dostatecznego «ładunku» empirycznego. Bardzo zniechęcające jest to, że w tle takich metod postępowania widać nieufne staranie o obiektywność.

Zilustrujmy bezsens naukowego poglądu na rzeczywistość prostym przykładem. Przypuśćmy, że po raz pierwszy przyjeżdżam do Anglii i zamierzam ją poznać *sine ira et studio*; przystępuję więc do niej jako *tabula rasa* — bez żadnych uprzedzeń. Rozglądam się więc «bezstronnie» i — co widzę? Prawie wszystkie samochody jeżdżą lewą stroną jezdni, zazwyczaj bez kierowcy, a tylko z pasażerem. O dziwo, nie prowadzi to jednak do żadnych kolizji. Przyjmuję zatem «bezstronnie», że auta są wyposażone w automaty z doskonałymi czujnikami i kierują nimi niewidoczne roboty. Mój wniosek więc brzmi zrozumiale: Anglia jest najbardziej zautomatyzowanym krajem na świecie.

Pozornie niczego nie można temu wnioskowi zarzucić. «Naukowy» wynik idzie w świat i wystarczy go tylko przedstawić wystarczająco sugestywnie — mianowicie jako naukowy — aby stał się publiczną własnością. Może się zdarzyć, że to się powiedzie, jeśli nie zostanie on poddany szczegółowszej — i, przypuśćmy, niezbyt skomplikowanej — weryfikacji. Czymś zwyczajnym bowiem w nauce jest to, że nie dopuszcza się wątpliwości. Wystarczy bowiem tylko, aby nie pojawiły się żadne przeszkody, a odkrycie naukowe jest gotowe. Jeśli dodamy do tego trochę właściwego nauce tupetu, takie «odkrycie» będzie można wprowadzić do podręczników.

Główna przyczyna wyżej przedstawionych mankamentów i niekonsekwencji tkwi zapewne w tym, że nauka jest obecnie działalnością komercyjną, dlatego też pilnuje swojej autonomii w sposób porównywalny do metod mafijnych. Wiąże się z tym jeszcze jeden aspekt, który wymaga krytyki. Trafność odkryć naukowych — poszczególnych twierdzeń lub całych teorii — musi stanąć przed trybunałem prawdy.

Zazwyczaj przyjmuje się korespondencyjne kryterium prawdziwości ze względu na jego przejrzystość i pozornie łatwą stosowalność. W istocie jednak nauka współczesna tylko wyjątkowo dopuszcza do bezpośrednio empirycznego sprawdzania swoich wyników. Sprawdza się w ten sposób jedynie znikomą część «prawd» nauko-

wych; w większości wypadków stosuje się kryterium konsensualne. Oczywiście chodzi o konsensus w obrębie określonej grupy.

Z grupami takimi spotykamy się szczególnie często w naukach przyrodniczych: są to zorganizowane «klany», władające sferą publikacji i indeksami cytatów. Kto zostanie przyjęty do takiego klanu, zyskuje «prawo do nieśmiertelności» — jednakże za pewną cenę. Nie może już zajmować się tym, czym by sam chciał się zajmować: musi poprzestać na tematach kanonicznych; nie może poza tym przedstawiać żadnych wyników, które stałyby w sprzeczności z wynikami (uprzedzeniami?) protektorów.

Ortodoksja, która cechuje współczesną naukę, nie ma nic wspólnego z twórczą aktywnością. Wymaga raczej tępego konformizmu i oportunizmu. W takiej atmosferze wzorem niekonwencjalnego myślenia — zapewne nie we wszystkim godnym naśladowania — staje się ktoś w rodzaju Ericha von Däniken. Naruszając konserwatywne schematy, wnosi bowiem świeżą atmosferę do rutynowych interpretacji.

W dyscyplinach historycznych, w skądinąd oryginalnych interpretacjach zbyt często brakuje zdyscyplinowanego domyślenia wszystkich konsekwencji. W takich wypadkach wykładnia odpowiednich powiązań często jest bezwartościowa, a rezultat okauje się nie tylko paradoksalny, ale po prostu głupi. Przy (zazwyczaj) dogmatycznym punkcie wyjścia nie powinno to dziwić. Tymczasem kurczowe trzymanie się «poważnego» podejścia (a w istocie — uprzedzeń) uniemożliwia odkrywanie nieoczekiwanych zależności. Sądzę, że poniższemu wywodowi niczego istotnego nie można zarzucić. Otóż mało kto wie o tym, że największym agentem sowieckim wszechczasów był pewien Niemiec — znany pod pseudonimem „Hitler". On to bowiem sprawił, że drugo- czy trzeciorzędna potęga — Związek Sowiecki — stał się światowym supermocarstwem.

U podstaw powyższej «obserwacji» leży powszechnie przyjmowany we współczesnych naukach szczegółowych kauzalizm. Wskazany wyżej związek przyczynowo-skutkowy jest skądinąd zaskakujący na gruncie głęboko zakorzenionej nieufności wspólnoty naukowej.

3. O POSTĘPIE

Jedną z najbardziej nadużywanych kategorii demagogicznych jest oświeceniowa kategoria postępu. Obecnie kategorią tą posługują się najbardziej agresywnie jej radykalni krytycy: multikulturowi pluraliści spod znaku postmodernizmu. Ich pojęcie postępu jest jednak — co się samo przez się rozumie — «nowe», «bardziej ludzkie», «uniwersalniejsze».

Dychotomia tego, co postępowe, i tego, co niepostępowe — związana jest z sądami wartościującymi i preferencyjnymi. (To, co niepostępowe, utożsamiano często mylnie z tym, co wsteczne. Dychotomia postępowość-wsteczność jest jednak czymś innym; pojęcia „postępowy" i „wsteczny" są bowiem pojęciami przeciwstawnymi — pozostawiającymi poza wartościowaniem obszar neutralny, a więc nieinteresujący.)

Przyjrzyjmy się z tego punktu widzenia wszystkim sądom empirycznym lub w każdym razie opartym na empirii.

Epistemologiczny charakter sądu empirycznego pod wpływem modyfikacji wartościujących lub preferencyjnych zawsze się wyraźnie przekształca — aż do całkowitego zaniku. Poznawczy charakter biorący się z reguły z opisu pewnego zjawiska przestaje być w takim sądzie czymś podstawowym z chwilą, gdy zostaną weń wprowadzone wartości i preferencje. Albowiem zarówno wartości, jak i preferencje bądź nie mają charakteru empirycznego, bądź dotyczą innego i z poprzednim nieporównywalnego rodzaju empirii. Inaczej mówiąc – to, co w danym sądzie jest pochodzenia empirycznego w «naturalnym» sensie, jest właśnie epistemologicznie absolutne; to zaś, co jest tutaj wynikiem wartościowania lub preferencji, jest na pewno jedynie relatywne. I właśnie miara tej relatywizacji jest zazwyczaj nadal zakryta. Spowodowane jest to samym sformułowaniem językowym wyników poznania empirycznego, w szczególności zaś takim czy innym doborem środków językowych.

Dlatego nie można sądów wartościujących i preferencyjnych uznać za sądy poznawczo neutralne. Ich treść nie jest i nie może być poznawcza w obiektywnym sensie, którego od poznania słusznie wymagamy. Ich treść wyraża tylko opinie — jest tendencyjna. Wiedza, którą na ich podstawie można uzyskać, dotyczy nie tyle «poznawanego» zjawiska, ile raczej autora sądu.

Zdań wartościujących i preferencyjnych nie można uważać za zrelatywizowane do systemu — do struktury danych rozważań. Stosowane w związku z tym nawet niedeskryptywne predykaty wartościujące, które pozornie reprezentują relacje binarne (w najlepszym wypadku choćby i z zastrzeżeniem: „zrelatywizowane do systemu"), nie spełniają — jak się okazuje po uważniejszej analizie — takiej funkcji. Problem polega tu na celowo jakoby ograniczonym używaniu pewnych słów, wyrażających wartości i preferencje.

Kwestia ta zasługuje na szczegółowsze rozważenie na poziomie pragmatycznym. Godne uwagi rezultaty można jednak uzyskać już na poziomie syntaktycznym i przenieść je w odpowiedni sposób na inne poziomy. Zdań wartościujących i preferencyjnych ewidentnie nie można uznawać za zdania czysto deskryptywne, które tylko «na dodatek» zawierają predykaty wartościujące. Ich dokładniejsza analiza tylko w małym stopniu może być uniwersalna. Uniwersalne są chyba co najwyżej zasady poprawnego wnioskowania przejawiające się w regułach retorycznych.

Dla przykładu rozważmy zwyczajną definicję samego „postępu" i przyjrzyjmy się jej możliwym konsekwencjom. Niech słowo „postęp" ma zwięzły *definiens*: „rozwój ku lepszemu". Definicja wygląda na przejrzystą, prostą i zrozumiałą — a więc dobrze zbudowaną także z punktu widzenia dydaktycznego. Oba terminy, które tu się pojawiają, na pierwszy rzut oka są nieproblematyczne. Rozwój zakłada jakiś czasowy interwał: wystarczy więc tylko porównać stan wybranego zjawiska na początku i na końcu tego interwału. Rzecz dotyczy pewnej jakości, która w zasadzie jest mierzalna. Coś tutaj jest jednak nie w porządku.

Przy pewnym wysiłku bowiem predykat „lepszy" deszyfrujemy jako odnoszący się do relacji co najmniej dziewięcioargumentowej. Kiedy mówimy, że *a* jest lepsze niż *b*, musimy uwzględnić następujące parametry:

(1) *co* — pierwsze wartościowanie;

(2) *z czym* — drugie wartościowanie;

(3) *w czym* — co jest właściwym jakościowym odniesieniem tego «prostego» porównania;

(4) *do czego* — jaką przynosi korzyść;

(5) *dla kogo* — kto «korzysta» przy danym «polepszeniu», użytkownik — przedmiot ponoszący skutki poprzedniego aspektu;

(6) *według kogo* — kto to twierdzi: podmiot wartościowania, który może (lecz wcale nie musi) być tożsamy z ponoszącym skutki;

(7) *miejsce*;

(8) *czas* — w jakiej czaso (i przestrzennej) konstelacji odgrywa się ta konfrontacja jakości;

(9) *zadośćuczynienie wartości* – najbardziej problematyczny składnik: dopiero teraz należy założyć, że wyjściowy stopień „dobry" wobec rozważanego stopnia wyższego „lepszy" zawiera aspekt wartościujący (z reguły moralny) we właściwym sensie tego słowa, ale i on musi tu występować przynajmniej w formie „tak"—„nie" (i ewentualnie: „chce" — „nie chce", coś w rodzaju „nie wiem").

Która z tych — wprawdzie «dodatkowych», chociaż niemożliwych do zignorowania — składowych wyraża tę relatywizację do systemu?

Zauważmy, że składowe (3), (4) i (5) reprezentują teleologiczny aspekt predykatu „lepszy". Składowa (6) manifestuje określone stanowisko, mimo że jego struktura jest znacznie bardziej złożona aniżeli z upodobaniem badane w filozofii analitycznej (binarne) predykaty „wierzę", „myślę sobie", „wiem" itp. Podobnie jednak jak rozważane wyżej składowe nie są one homogeniczne.

Z tego zwięzłego przeglądu wynika, że banalny predykat „lepszy" jest strukturą dość skomplikowaną. Rzetelne «wypełnienie» wszystkich jego składowych-rubryk tak, aby powstało kompletne zdanie, może sprawiać znaczne kłopoty w zależności od aktualnego sposobu użycia. Kiedy jednak wyobrazimy sobie sytuację, w której lekarz mówi pacjentowi, że jego stan zdrowia uległ *polepszeniu*, to okazuje się, że dla lekarza (jako nadawcy «komunikatu») skompletowanie, o którym mowa, może być mało przyjemne, a dla pacjenta (jako odbiorcy) kompletny «komunikat» może być nie do przyjęcia, ponieważ zapowiada w istocie śmierć.

Rzecz w tym, że formuła z predykatem „lepszy" tworzy zdanie dopiero wtedy, gdy nie ma w niej zmiennych wolnych; inaczej stanowi ona jedynie funkcję zdaniową i jest tylko potencjalnym nośnikiem wartości prawdziwościowej. Zmiana któregokolwiek «nieistotnego», niejawnego parametru (tj. jednego z parametrów od trzeciego poczynając) prowadzi nie tylko do zmiany «relacji» — w tym sensie, że odpowiednia wypowiedź jest «o czymś innym», ale ogólnie — do zmiany wartości prawdziwościowej.

Najbardziej interesującym przypadkiem, stwarzającym dla nadawcy obszerną przestrzeń manipulacyjną, jest sytuacja, kiedy posługuje się on schematem nie całkiem wypełnionym — z wartościami *implicite*. Wtedy naprawdę sztuką jest utrzymanie równowagi między wygłaszanym zdaniem a «ukrywaną» pod nim rzeczywistością. Charakterystyczne jest, że w takiej sytuacji rzecznik «postępu» obnosi się demonstracyjnie z relatywizmem. W istocie ów relatywizm jest oznaką braku powagi, bynajmniej nie naukowej — chociaż rzecznicy postępu z upodobaniem odwołują się do protektoratu nauki.

Można jednakże rzecz potraktować w odmienny sposób. Rozważane typy zdań całkiem zwyczajnie są generalizacjami. Niektóre pozycje nie są w rzeczywistości wypełnione dlatego, że można im nadać jakąkolwiek wartość (możliwe jest związanie odpowiedniej zmiennej wolnej kwantyfikatorem ogólnym). Takie uogólnienie jest w pełni uzasadnione pod warunkiem, że rozumie się je jako twierdzenie statystyczne. Inaczej każdy «wyjątek potwierdzający regułę» powodowałby, że twierdzenie przyjmowane z założenia za prawdziwe zostałoby zdyskwalifikowane.

Wtedy jednak treść takiego twierdzenia byłaby już słabsza i niekategoryczna. Takie argumentacyjne osłabienie byłoby jednak *handicapem* «oświeconych», którzy takim sądem operują, i dlatego jest dla nich nie do przyjęcia. Jak jednak zachować kategoryczność i nie stracić prawdziwości, skoro są to «naczynia połączone»?

Rozwiązanie jest właściwie bardzo proste. Nieprawdziwy sąd kategoryczny modyfikuje się deontycznie. Jeśli coś miałoby dopiero być, to bezprzedmiotowe jest pytanie o prawdziwość stwierdzającego to coś zdania. I w tym właśnie tkwi *trick* rzeczników postępu. Pobożne życzenia przedstawia się po prostu jako normę. Następnie dopuszcza się wyjątki od normy, które dotyczą wyłącznie «wsteczników» — przeciwników nieubłaganego i niepowstrzymywalnego postępu.

O normie nie da się dyskutować jak o sądzie. Norma nie mówi nic o rzeczywistym stanie realnego świata. Norma odnosi się do pożądanego stanu świata idealnego. Z normy można jednak «odczytać» coś o normotwórcy: o jego orientacji aksjologicznej, preferencjach itp. W ten sposób krąg się zamyka. Zdania wartościujące i preferencyjne dostarczają co najwyżej informacji o ich autorach: o świecie z tych zdań nie dowiemy się niczego godnego zaufania.

To jednak dokładnie odpowiada intencjom rzeczników «postępu». «Postępowe» tendencje mają zmieniać świat. Pobożne życzenia wykorzystują siłę słowa, które ma być bodźcem do zmian i wypływają z namiętności do mikro- lub makrorewolucji. Bezwzględność wobec jednostki jest w tym wszystkim motywem przewodnim. Postępowi intelektualiści są największymi czcicielami i propagatorami totalitaryzmu. Źródłem totalitaryzmu jest właśnie tęsknota za postępem jako takim. Społecznie uświadomiony humanizm ucieleśniony w nieokreślonym postępie jest najmocniejszą bronią intelektualistów w walce o zwycięstwo ilości nad jakością.

Stąd — jak sądzę — płynie wniosek, że język jest dobrym sługą, ale złym panem. Można by to zignorować, gdyby dało się z języka w ogóle zrezygnować. Potrzebna do tego byłaby szczególna zdolność, której (niestety) nie da się wyuczyć — telepatia.

Dzięki niej dopiero można by się komunikować bezpośrednio za pomocą pojęć, a więc bez «szumu» językowego. Ponieważ taki sposób porozumiewania się jest tylko fantazją, nie pozostaje nic innego, jak dalej — z honorem i powagą — potykać się z językiem.*

Przełożył z czeskiego Bogusław Szubert

---

* Za przejrzenie tekstu tłumaczenia dziękuję doktorowi Andrzejowi Wójcikowi z Zakładu Logiki i Metodologii Instytutu Filozofii Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach [BS].